

Alina Daniela Muklewicz
z d. Dobrowolska
ul. Nowogródzka 4A m 27.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłam się w Supraślu w 1927-ym roku. We wczesnym dzieciństwie zmarła moja matka a ojciec wyjechał do pracy do Poznania. Moim wychowaniem zajęła się rodzina brata mojego ojca czyli mojego stryja. Ojca widywałam bardzo rzadko. Pamiętam, że spotkałam go po wojnie 1939-go roku. Nadal pozostawałam pod opieką stryja, który pracował jako główny mechanik w fabryce włókienniczej "Cytrona" w Supraślu. Stryjenka prowadziła gospodarstwo domowe. Mieszkaliśmy w wolnostojącym domu stanowiącym współwłasność mojej stryjenki i jej czworo rodzeństwa, również mieszkającego w tym domu.

Początkowo, po wejściu Niemców, przystąpiono do wywózki maszyn z fabryki włókienniczej. Stryj, jako główny mechanik, musiał w tym uczestniczyć. Po wycofaniu się Niemców i wejściu Rosjan zdołano uruchomić fabrykę po dłuższych staraniach. Produkowano głównie na potrzeby wojska: grube koce i sukno na mundury. Stryj nadal tam pracował jako główny mechanik. W szkołach rozpoczęła się nauka. W czasie okupacji sowieckiej ukończyłam piątą i szóstą klasę.

Od początku władzy sowieckiej mówiono o wywózkach i więzieniach. Najpierw wywieziono nauczycieli. Starszy syn stryja był na froncie jako oficer rezerwy. Po zakończeniu działań wojennych podjął pracę w magistracie, za co został aresztowany z rodzeństwem i osadzony w więzieniu w Biłymstoku. Po pewnym czasie aresztowano proboszcza ale wkrótce wypuszczono. Stało się to za sprawą odważnej, jednoznacznej i solidarnej postawy miejscowej wspólnoty parafialnej. Liczny tłum zgromadził się przed aresztem i władze musiały ustąpić. Nie zaprzestano jednak pojedynczych wywózek.

Nasz los dopełnił się nocą z 19-go na 20-ty czerwca 1941-go

roku, po zakończeniu oktawy Bożego Ciała. Pamiętam to dokładnie, bo na krześle leżała moja biała sukienka, w której uczestniczyłam w procesji. Obudziło nas głośnie walenie do drzwi. Do mieszkania weszło kilku NKWD-stów z rewolwerami w rękach. Wtargnęli do sypialni stryja: "Wstawaj, ruki w wierch" i postawili go pod ścianą. Długo przeprowadzali drobiazgową rewizję a stryj przez cały czas stał z rękami nad głową, przez cały czas mierzono do niego z pistoletu. Wreszcie wszystkim nam odczytano wyrok z którego wynikało, że Dąbrowscy Michał, Anna, Helena /córka stryja/ i ja są skazani. Powiedziano nam, że jedziemy do dzieci stryja które, jak wspomniałam, były więzione w Białymstoku. Prawdę poznaliśmy dzięki dyrektorowi fabryki, w której pracował stryj. On, Rosjanin, niejako z urzędu uczestniczył w aresztowaniu nas. To on nam szepnął: "Zabierajcie, co się tylko da". I do stryjenki: "bierzcie jedzenie, dużo jedzenia i ubrania, jedźcie na Syberię."

Pakowaliśmy do worków zawartość szaf i szuflad, głównie ubrania i pościel. Konwojenci pozwolili posłać po młodszego brata stryja aby zaopiekował się opuszczonym mieszkaniem i pomógł spakować się. To właśnie on wrzucił do worka wędliny z całego, niedawno zabitego wieprza. To wszystko załadowaliśmy do oczekującego samochodu, który zawiózł nas na dworzec poleski. Podjechaliśmy do bardzo przepełnionego wagonu, w którym pozostały już tylko trzy deski na nas czworo i to przy samych drzwiach. Był to oczywiście wagon bydlęcy z typowym wyposażeniem. A takich wagonów było w transporcie 80, każdy wypełniony po brzegi. Razem, jak obliczaliśmy, jechało ok. 2.400 osób. Podstawione wagony były niesamowicie brudne. Pluskwy a nawet wszy były widoczne na każdym miejscu. Można było obserwować wszy "spacerujące" po twarzach współpodróżnych. Był czerwiec, wyjątkowo upalny, nas upchano do wnętrza i drzwi zamknięto. Mdłe światelko przenikało do środka przez dwa niewielkie okienka, umieszczono wysoko pod sufitem.

Wreszcie ruszyliśmy. Przed Mińskiem zatrzymał się. Ku naszemu zdumieniu usłyszeliśmy ryk syren i warkot gdzieś wysoko lecących samolotów. Zamknięci w ciasnym, dusznym wagonie, nic z tego nie rozumieliśmy i snuliśmy najrozmaitsze przypuszczenia. Stojący obok wagonu Rosjanin konfidencjonalnie pokazał na migi lecący samolot zrzucający bomby. Nadal nic z tego nie rozumieliśmy. Dopiero po jakimś czasie inny Rosjanin wrzucił do wagonu gazetę z której dowiedziliśmy się o wybuchu wojny. Nagle transport ruszył nabierając gwałtownie dużej szybkości. Chyba dzięki temu uniknęliśmy bombardowania.

W czasie podróży nie dawano nam nic do jedzenia. Jedyne codziennie dwóch ludzi z wiadrami wychodziło pod konwojem po wodę. A upały nie ustawały. Raz, na całą podróż, wrzucono do wagonu cztery bochenki chleba, raz kilka wędzonych ryb a innym razem bryndzę, bardzo kwaśny chleb. I tak przez całe dwa tygodnie. Na szczęście ludzie pomagali sobie wzajemnie. My też pomagaliśmy innym. Teraz dopiero przydały się wędliny, zapakowane przez młodszego stryja. Nikt nie zmarł w naszym wagonie chociaż podróżowali z nami ludzie w różnym stanie zdrowia i wieku m.in. dwuletnie dziecko. Pewnego dnia konwojenci nie dali nam wody. Jako powód podali próbę ucieczki podjętą przez któregoś z Polaków, co już wówczas budziło nasze wątpliwości. Prawdopodobnie konwojentom, panom naszego życia i śmierci, nie chciało się fatygować. A że ludzie cierpią? To przecież burzuje - krwiopijcy. Skrajnie wyczerpani zaczęliśmy się modlić. Nie do wiary: wkrótce rozpoczęła się prawdziwa ulewa. Osoby będące w pobliżu okienek wystawiały kubki, do których ściekała z dachów wagonów brudna woda. Piliśmy ją łapczywie.

Po dwóch tygodniach, po pokonaniu ponad sześciu tysięcy kilometrów, pociąg zatrzymał się w Srodkowej Syberii - w Ałtajskim Kraju - w mieście Bijsk. Tu bezceremonialnie wyrzucono nas na plac zawalony tartacznymi deskami. Rozeszliśmy się po okolicznym lesie

aby rozprostować ciało po tak długiej i wyczerpującej podróży. Była też okazja strząsnąć z siebie to obrzydliwe i dokuczliwe robactwo. Rozplotłam warkocze i zwykłym, niezbyt gęstym grzebieniem, zrzucałam tego tysiące. Do dziś nie rozumiem, jak w tych okropnych warunkach nie doszło do wybuchu epidemii.

Miejscowe władze przystąpiły do rozwożenia nas, ponad dwutyśięcznego tłumu. Nasza rodzina stała na końcu i cierpliwie czekała swojej kolejki obserwując, jak kolejne fury uwożą Polaków w głąb tajgi do wycinki drzew. W końcu okazało się, że dla nas i kilku innych rodzin zabrakło środków lokomocji. Musieliśmy nocować na placu. Z porzuconych desek ostawiliśmy prowizoryczne domki i położyliśmy się do snu. Nocą zaczął padać ulewny deszcz, przed którym nie chroniły nas naprędce ustawione zasadażenia.

Rano zajechały po nas kołchozowe furki, na których siedzieli brodaci starcy oraz młodzi komsomolcy uzbrojeni w karabiny. Przez trzy dni jechaliśmy w nieznane, w głąb Altajskiego Kraju i przez te trzy dni nieprzerwanie padał deszcz. Jeszcze na placu w Bijsku konwojenci zapowiedzieli nam, że nie możemy zatrzymywać się w żadnym kołchozie gdyż w przeciwnym razie będą strzelać. Jednak w czasie ostatniej nocy uprosiliśmy ich o nocleg w mijanym kołchozie. Miejscowi ludzie przyjęli nas i pozwolili spać na podłodze. Kto wie, czy nie to mnie uratowało, gdyż w czasie podróży zachorowałam i miałam ok. 40° temperatury. Tu, w czasie tego noclegu, całkowicie skończyła się nam żywność. Rosjanie nam współczuli ale pomóc nam nie mogli, bo sami nie mieli nic. Stryjenka miała jeszcze cukier w kostkach i kropelki walerianowe. Na każdą kostkę cukru polewała kilka kropel i to musiało nam wystarczyć za jedzenie.

W końcu dotarliśmy do celu: w opuszczonej szkole, bo były wakacje, dwa kilometry przed miasteczkiem Ojrot-Tura mogliśmy nieco odpocząć. Wkrótce zamieszkaliśmy w pobliskim chlewku.

Nadal leżałam z wysoką temperaturą. Zainteresowała się mną felczerka pałniąca rolę lekarza. Zbadła mnie i na tym skończyła się jej rola, bo żadnych leków nie miała.

Wreszcie wyjrzało słońce. Mogliśmy zacząć suszyć przemoczone ubrania i pościel. Jak się okazało, do Ojrot-Tura trafiło z naszego transportu ok. 500 osób. Reszta trafiła do tajgi.

Wkrótce przewieziono nas furkami do cegielni. Ponieważ pracujący tu wcześniej mechanik został powołany do wojska, mój stryj został powołany na to stanowisko. Podczas przyjęcia go do tej pracy rozegrała się bardzo symptomatyczna dla sowieckich warunków scena. Stryjowi kazano pokazać dłonie. Okazało się, że są pozbawione odcisków. "Jesteś burżuj". Stryj tłumaczył, że odciski zawsze miał ale w czasie długiej podróży jego dłonie wydelikatniały. W końcu stanęło na tym, że przyjęto ^{go} na próbę. Po jakimś czasie okazało się, że skończyła się ropa do maszyn i cegielni grozi przestój. Stryj znalazł beczki z jakimś smarem. Coś z nim robił i uzyskał jakieś paliwo zastępcze, które pozwoliło uruchomić maszyny. W ten sposób uzyskał zaufanie władz.

Majster, w rozmowie ze stryjem uprzedził go, że powinien mieć się na baczności, bo "u nas jest prawdziwa kultura" i polecił mu poinformować o tym innych Polaków. W czasie najbliższej przerwy śniadaniowej trwającej ok. 30 minut pracownicy-Rosjanki zabawiły się z mężczyznami grą w "salonowca", zadzierając bez żenady spódnice. To rozsierdziło mojego stryja. Przy najbliższym spotkaniu z majstrem nawiązał do zabaw w czasie przerwy i skostatował: "ma pan rację, wasza kultura jest rzeczywiście inna od naszej." Majster, wyraźnie zmieszany, przeprosił stryja. Przyznał się do pomyłki a na koniec wyznał, że jest z pochodzenia Polakiem a jego pradziad nazywał się Tuzowski.

Obowiązek pracy obejmował osoby od lat 13-tu a ja miałam 14. Zatrudniono mnie w ogrodzie należącym do cegielni. Stanowił on część przyzagrodowego gospodarstwa. Stąd brano warzywa na pra-

cownicze zupy. Starsze i silniejsze dzieci zatrudniano przy przewożeniu cegły od maszyny do szopy-suszarni. Była to praca wyjątkowo ciężka, bo jeździło się taczkami na jednym kole a nie na wózku i w dodatku po chybottliwych, niepewnych deskach. Ja, gdy podrosłam, również stanęłam do taczki.

Stryjenka nie pracowała, gdyż miała na nogach widoczne, otwarte rany. Trochę dorabiała jako krawcowa, nicując robotnikom ich mocno podniszczone szmaty.

Praca trwała po 10 godzin. Jeżdżąc taczka zdeformowałam stawy w rękach i nogach. W dodatku byłam wyjątkowym chudzielcem. Czasu na odpoczynek nie było. Mieliśmy zajęte nawet niedziele. Wprawdzie cegielnia nie pracowała, ale nas wywożono do okolicznych kołchozów. Jechaliśmy tam już w sobotni wieczór, spaliśmy na trawie i w niedzielę rano zaczynaliśmy harówkę w polu. Dobrze było, jeśli jedna niedziela w miesiącu były wolna.

Klimat był dla nas, Europejczyków, niezwykajny. Dni w lecie były ciepłe ale w nocy należało zakładać zimowe ubranie! Zimą czterdziestostopniowy mróz miejscowi traktowali pobłażliwie. Dla nich zimno zaczynało się od pięćdziesięciu stopni. Tak było w górach, niedaleko szczytu Biełucha.

Najtrudniejszą była dla nas pierwsza, tam spędzona wiosna 1942-go roku. Najtrudniejsza dlatego, że przywieziono nas tu w lipcu 1941-go roku, kiedy było już zbyt późno, aby coś zasiać. W obawie przed głodową śmiercią Polacy oddawali piękne, drogie ubrania za wiadro kartofli. Ale i to wkrótce się skończyło, bo skończyły się kartofle. Nie byliśmy w stanie pracować, leżeliśmy wycieńczeni. Przy życiu utrzymywał nas chleb, który przydzielano po 40 Hekagramów na pracującego i 25 dkg na osobę niepracującą. W końcu zabrakło nawet lebiody i soli, o którą też było trudno, bo do kolei odległość była spora i z tego powodu jej nie dowożono. W tym czasie sól osiągała tam bardzo wysoką cenę.

Pieniądz prawie nie funkcjonował jeśli nie liczyć zakupów chleba. Miejscowym co, jakiś czas przydzielano ubrania. Polakom oczywiście nie bo uważano z założenia, że są i tak bogaci. Taka to była wiosna 1942-go roku w Ałtajskim Kraju.

Cegielnia otrzymywała jeden egzemplarz gazety, która była jedynym źródłem informacji o świecie. Nie było radia ani radiofonii przewodowej tzw. "Kołchóżników". Z gazety wiedzieliśmy, jak przebiega wojna, bo czasem majster dawał nam ją do przeczytania. Macki woj^{ny} sięgały i tu, zabierając na front szesnastoletnich chłopców. Z wojny wracali inwalidzi, ranni, ludzie strasznie okaleczeni. Bardzo często okolicą wstrząsał przeraźliwy płacz: to matki - według wschodniego obyczaju - wychodziły przed swoje obejście i lamentowały po otrzymaniu wiadomości o stracie syna, męża. Taki rytualny płacz trwał około dwóch godzin. Wszystkie nieszczęścia wojenne miejscowi ludzie przypisywali personalnie Stalinowi: "niech go pochłonie 100 wagonów cholery i piorunów", to częste życzenie pod adresem wodza narodów, składane oczywiście po cichu, aby tego nie słyszały niepowołane uszy. Życzli zwycięstwa Niemcom i czekali ich jako zwycięzców w nadziei, że może wreszcie skończy się to pieskie życie, poniżająca nędza i piekący głód. Dzieci np. w zimie siedziały w domu, bo nie miały w co się ubrać. W lecie to co innego: wystarczyła koszulina, jakieś porcięta a buty nie były potrzebne.

W zimie cegielnia nie pracowała. Ludzie szli do pracy w miejscowej rzeźni/tu zwanej bojnią/ lub do fabryki nart produkującej na potrzeby armii. Dawniej była to fabryka mebli. Miejscowi, Rosjanie i Ałtajcy o mongolskich rysach twarzy, mieszkali w jurtach. Wszystkie efekty swojej pracy musieli oddawać na potrzeby toczącej się wojny. Hodowcy owiec byli rozliczani co do sztuki. Stosy owczych skór i owczego mięsa leżały przy drogach. Pilnowa-

li tego uzbrojeni strażnicy, aż ciężarówki wszystko to w-
wiozły. Mięso jedli tylko w szczególnych okolicznościach, gdy
np. padł koń. Kiedyś, z głodu, aby czymś się zająć, stryj zapro-
ponował spacer w góry. Szczęśliwym trafem znaleźliśmy miej-
sce obfitujące w poziomki. Chodziliśmy tam przez dwa tygodnie
i dożywialiśmy się. Pewnym ulżeniem naszej doli było zezwole-
Stalina na uprawianie takiej powierzchni ziemi, jaką zdołamy
skopać, co dotychczas było nie do pomyślenia. Gleby tam były
bardzo urodzajne. Nikt tam nie stosował nawozów. Warzywa udawa-
ły się nam wspaniale. I pomyśleć, że na tej ziemi panował głód.
Na przednówku, gdy znowu pojawiała się widmo głodu, wybieraliś-
my z ziemi jeszcze niedojrzałe ziemniaki, bo cóż mieliśmy
robić? W następnych latach sadziliśmy tyle, że starczało do nas-
tępnych zbiorów.

Obok naszej izby, w przejściowym mieszkaniu, mieszkało dwoje
staruszków, pp. Piaseccy z Jurowiec. Oboje bardzo leciwi: on lat
82 a ona 72 lata, schorowani, zostali przygarnięci przez stryja,
gdyż drzwi z ich izby otwierały się bezpośrednio na podwórze,
co przy tamtejszych mrozach nie było bez znaczenia. Wkrótce,
jeśli dobrze pamiętam, w grudniu 1941-go roku p. Piasecki zmarł.
Jego śmierć a właściwie pogrzeb nastreczył wiele trudności, bo
skąd np. wzać deski na trumnę? Było to w okresie Bożego Narodze-
nia a mróz dochodził do 50-ciu stopni. Nocą, stryj - ryzykując
bardzo wiele - oderwał od szopy w cegielni cztery deski na
trumnę i dostarczył je stolarzowi. Na pogrzeb przyszły kobiety,
wśród nich była nawet zakonnica. Z kawałków wosku ugnieciono
gromnicę. Stryj wyciął w pobliskim lesie brzoźkę, z której zro-
biono krzyż. Do miejscowego, prawosławnego cmentarza było 6 km.
Dyrektor cegielni udostępnił sanie, na które złożono trumnę

i usiadła żona zmarłego. Pozostali uczestnicy pogrzebu pokonali tę odległość pieszo. Wcześniej młodzi mężczyźni wykopali a właściwie wykuli w zamarznętej ziemi grób. Po drodze mijaly nas miejscowe dzieci i młodzież wołając: "Choroszo, Palak padoch /zdechł/." Po kilku miesiącach, wiosną, mogiłę ogrodzono. Pani Piasecka przeżyła zesłanie i wróciła z nami do Polski. Tam, na Syberii była nam bardzo pomocna. Doskonale prowadziła nasz ogródek bo znała się na tym doskonale.

Życie religijne wśród miejscowych w zasadzie nie istniało. Starsi ludzie, szczególnie kobiety, w tajemnicy przechowywali ikony w szafach. Młodzi byli na te sprawy w najlepszym przypadku obojętni. Co jakiś czas przez góry przekradał się, w przebraniu kobiety, pop i chrzczył dzieci. My, zesłańcy, modliliśmy się wspólnie na nabożeństwach majowych i różańcowych. Początkowo NKWD interesowało się tym, spisywało nasze dane osobowe. Po jakimś czasie zaniechali tego i dali nam spokój. Doszli chyba do wniosku, że skoro nie agitujemy tubylców i pracujemy uczciwie, to nic to nie szkodzi. Ich interesowała głównie nasza praca i jej wydajność.

Szeregi nas, Polaków, z czasem znacznie się przerzedziły. Część przeniosła się do miasta jako stolarze, szewcy, bo praca w cegielni była wyjątkowo ciężka i miała w sobie coś z katorgi. Stryj, niestety, okazał się człowiekiem niezastąpionym i o jego odejściu z cegielni nie mogło być nawet mowy. Oprócz funkcji mechanika spełniał, w razie potrzeby, zadania kowala, ślusarza i co w danej chwili było akurat potrzebne.

Dużo Polaków poszło do armii Andersa. Gdy jednak nastąpiła jej ewakuacja, wobec nas Polaków wystąpiła prawdziwa eksplozja szyskan i nienawiści. Na początku 1943-go roku / było to chyba w marcu, pamiętam, że na polach leżał jeszcze śnieg /wszystkich nas Polaków aresztowano. Czyniono to na raty, wzywając według al-

fabetu całe rodziny. Tam wezwanych przesłuchiowano, aresztowano i osadzano w ciasnych celach. Chodziło o zmuszenie nas do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa. Mnie przesłuchiowano do północy. Wreszcie zapytano, ile mam lat i zupełnie nieoczekiwanie, tak prosto, zwolniono do domu. Bałam się wracać sama o północy; grasowały tu bowiem bandy rabusiów rozbierających napadniętych, gdyż ubranie było tu dobrem bezcennym. Po okolicy włączyły się watahy głodnych wilków. Jakoś jednak wróciłam szczęśliwie. Nazajutrz wróciła stryjenka z córką a po jakimś czasie także stryj. Przyjęli oni obywatelstwo sowieckie, bo straszono łagrem. Wielu opornych Polaków aresztowano wówczas i wszelki ślad po nich zaginął. Przyjmując znienawidzone obywatelstwo liczyliśmy, że zachodni alianci nas nie opuszczą a Stalin musi liczyć się z ich zdaniem.

Nadal żyliśmy w trudnych warunkach, wśród nieżyczliwych ludzi i surowej przyrody. W wyższych partiach gór często padał grad takiej wielkości, że zabijał ludzi. Szalejący w stepie Burian zasypywał ludzi z końmi. Okrutni też byli i miejscowi ludzie, zwłaszcza NKWD-yści. Ulice miasta Ojrot-Tura rozciągały się na wzniesieniach, zaś siedziba miejscowego NKWD z nieodłącznym więzieniem w piwnicach znajdowała się w niecce. Wiosną, gdy z gór spłynęły śniegi, woda zalała dolinkę i zatopiła więźniów, których bez większego trudu można było uratować.

W połowie 1943-go roku rozpoczęto, z rozmachem, mobilizację Polaków do wojska gen. Berlinga, "do Wandzi"/Wasilewskiej/, jak mówiono powszechnie. Kwalifikowała kilkusobowa komisja z udziałem polskiego lekarza. Ilość Polaków w Ałtajskim Kraju znowu się zmniejszyła. Wojna toczyła się nadal. Czuliśmy ją, chociaż była odległa od nas o tysiące kilometrów. Tak mijały kolejne lata.

Wreszcie na początku 1946-go roku ogłoszono, że będzie powrót do Polski. Wkrótce w Barna^u powstała polsko-radziecka komisja

mieszana, która kwalifikowała osoby do wyjazdu. Opinię pozytywną otrzymywali bez większych kłopotów Polacy i Żydzi, gdyż katolicyzm i wyznanie mojżeszowe nie wzbudzało emocji. Prawosławnych zatrzymywano traktując ich jako Białorusinów. Dopiero teraz okazało się, dlaczego w wielu formularzach radzieckich była rubryka "wyznanie", w kraju wojującego ateizmu.

Podróż rozpoczęliśmy w siarczysty mróz na odkrytych, pozbawionych plandek ciężarówkach. Musieliśmy się śpieszyć, bo szybko nadchodziła wiosna a my musieliśmy przed jej nastąpieniem przejechać po lodzie rzekę Biję w Bijsku. Był tam wprawdzie most, ale zawieszany i dlatego rzadko używany. Jadąc po lodzie słyszeliśmy niebezpieczne trzaski i falowanie nawierzchni. Przejechaliśmy szczęśliwie chociaż na lodzie pojawiła się już woda. W Bijsku koczowaliśmy w miejscowym kinie przez dwa tygodnie w oczekiwaniu na sformowanie transportu. Wiedział już o nas Czerwony Krzyż i pamiętał o nas. Otrzymywaliśmy żywność i to takie delicje jak konserwy, zupy a nawet mleko w proszku. Czuliśmy się bogaci, otoczeni luksusem. Wreszcie wsiedliśmy do pociągu: wagony też bydlęce ale już mogliśmy otwierać drzwi. Piecyki też były ale "zapomniano" o węglu, który musieliśmy kraść na mijanych stacjach, zabawiająca się przy tej okazji w chowanego z uzbrojonymi strażnikami kolejowymi. Jakoś nikt nie zginął. Jechaliśmy przez Kijów, Lwów, Zamość, Czeremchę, w której staliśmy cały dzień, do Białegostoku. Wcześniej, kto miał kogo, powiadomiliśmy telegraficznie o naszym powrocie. Do Supraśla zawoził nas kuzyn, który samochodem ciężarowym rozwoził właśnie repatriantów do ich domów. Wkrótce ukończyłam trzymiesięczny kurs przedszkolank i rozpoczęłam pracę w Supraślu w przedszkolu pod tym jednak warunkiem, że w ciągu najbliższych czterech lat ukończę zaocznie seminarium dla wychowawczyń przedszkoli, co też uczyniłam. W Supraślu przepracowałam cztery lata.

Następnie skierowano mnie administracyjnie do Czarnej Białos-
tockiej. Tu, w 1949 roku wyszłam za mąż. W latach 1951 i 1952
przyszły na świat dwie córki. Jestem na emeryturze. Mieszkam
w Białymstoku.

Notował: Stępiński Józef